
ADAM CZESŁAW DOBRÓŃSKI

DROGA PRZEZ CIEKAWĘ I GODNE ŻYCIE

Zygmunt Poczobut opowiada bardzo obrazowo o swych przeżyciach, momentami trudno uwierzyć w ich prawdziwość. Rozmówca urzeka też urokliwym zaśpiewem kresowym oraz pogodą ducha.

„Ja miałem szczęście urodzić się w II Rzeczypospolitej na Kresach Wschodnich w rodzinie, gdzie poszanowanie dla korzeni i przestania przodków uważano za świętość. Życie w tamtych czasach, dopiero dziś to wiem, dało mi możliwość obserwacji i uczestnictwa w historii. Droga była trudna i niebezpieczna, za to bardzo ciekawa. Życie nie szczędziło mi bolesnych doświadczeń, ale przecież zdarzały się w nim chwile radości i szczęścia”. To fragment ze *Słowa wstępnego* do wspomnień Zygmunta Poczobuta *Przodkowie i potomkowie. Opowieść o burzliwych dziejach Kresów Wschodnich na podstawie wspomnień oraz osobistych obserwacji i przeżyć autora opowieści*, wydanych w 2015 roku w Suwałkach w nakładzie zaledwie 300 egzemplarzy. Pięć lat później, też w Suwałkach i również kosztem własnym autor wydał 300 egzemplarzy tomu *Wspomnienia i myśli nad Czarnej Hańczy*. Powrócił w nich do swoich lat młodych i dołączył listy. Przy tak niskich nakładach i kolportażu głównie wśród osób znajomych, relacje pana Zygmunta nie trafiają do interesujących się tematyką kresową i sybiracką, a szkoda.

Gospodarowanie na swoim

Zygmunt Poczobut urodził się w 1937 r. we wsi Rulewicze, wówczas leżącej w gminie Wawiórka, powiat lidzki, województwo nowogródzkie. To na tamtejszym cmentarzu do 1988 r. znajdował się grób legendarnego dowódcy AK Jana Piwnika „Ponurego”. Poczobutowie rozrodzili się na Wileńszczyźnie i Grodzieńszczyźnie, w poczcie znakomitych rodaków znalazł się Marcin Poczobutt-Odlanicki (1728-1810), herbu Pogonia, przede wszystkim astronom, rektor Szkoły Głównej Litewskiej (Uniwersytet Wileński). Większość Poczobutów zagubiła drugi człon nazwiska i wiodła żywot zubożałych asanów. Ojciec Zygmunta, Jan Poczobut, urodzony w Bolciszkach w rejonie woronowskim, dopiero w latach trzydziestych dwudziestego wieku nabył od skarbu państwa kilkadziesiąt hektarów nieużytków rolnych. Razem z żoną Stanisławą, z domu Szyrmo, pojęli trud stworzenia samodzielnego gospodarstwa. Musieli rozpocząć od oczyszczenia ziemi z krzaków i postawienia budynku gospodarczego dla zwierząt, które dostali od rodziców, a sami zamieszkali w komorze o powierzchni 16 m². Dopiero w 1938 r. ojciec dostawił pomieszczenie wielkości 25 m² z piecem,

w którym można było wypiekać chleb. Rok później zaczął zwozić z lasu drewno na budowę domu, w czym przeszkodziła wojna. Harówka i ubóstwo uratowały Poczubutów od wywiezienia na Sybir, a w 1940 r. urodził się trzeci syn. Ominęły ich także represje okupantów niemieckich, a nawet ojciec założył wówczas sad.

Za „drugiego Sowietą”

Latem 1944 r. powróciła Armia Czerwona z misją „wyzwalania”. Najpierw trzeba było „dobić Niemca”, więc Jan Poczobut i jego brat Michał dostali wezwanie do wojska. Wybrali 1 Dywizję Piechoty im. T. Kościuszki, szczęśliwie przeszli szlak bojowy wiodący na Berlin i powrócili do domu. Po drodze odgruzowywali Warszawę i ze stolicy w listach namawiali rodziny, by przyjechały do Polski, gdzie można się było osiedlić na Ziemiach Odzyskanych. Najbliżsi nie skorzystali z tej okazji, bo łudzono się nadzieją, że Sowietci wycofają się z Kresów, a ponadto w marcu 1945 r. Stanisława urodziła kolejnego syna. Następne cztery lata były ciężkie z racji szybko rosnących podatków i przymusowych dostaw oraz dodatkowych robót: wywózki drewna z lasów, dostarczania żwiru na budowę dróg. Jeszcze dało wytrzymać. Zygmunt poszedł do szkoły, gdzie uczono po rosyjsku i białorusku, po nauce był wysyłany do pasienia bydła.

Powoli narastał jednak terror NKWD. Rodzina stryja Aleksandra, trzech mężczyzn i żona, pojechali do łagru na Czukotkę z wyrokiem 10 lat. W tym przypadku zarzut brzmiał: ukrywaniu morderstwa popełnionego prawdopodobnie przez „bandę, zwaną partyzantką”. Trudno się było dokładnie rozeznąć w ówczesnych realiach, a za jakikolwiek opór przeciwko władzy groziło więzienie. Piekło zaczęło się w 1950 r., gdy w rejonie Lidy zaczęto kolektywizację. Różnymi sposobami zmuszano gospodarzy do przekazania swej ziemi rolnej, łąk i lasów, koni, części budynków gospodarczych. Pozwalano zostawić jedynie budynek mieszkalny, obórkę, 30 arów ziemi, krowę. Opornych obkładano rosnącym wymiarem obowiązkowych dostaw, co prowadziło do całkowitego zrujnowania gospodarstwa. Kołchoźnicy nie otrzymywali wynagrodzenia, a jedynie od 100 do 500 kg (najczęściej około 200 kg) zboża za pełny rok pracy. Krowy paśli na skrawkach pól kołchozowych, trawę kosili w zaroślach, na miedzach i na rżysku. Szybko nauczyli się też oszukiwać oraz kraść, zaś przekupnych urzędników upijali bimbrem. Mieszkańcy wsi nie otrzymali dokumentów paszportowych, co uniemożliwiało im wyjazd (ucieczkę) do miast. Wielu miało nadzieję, że jednak jakoś przetrwają na swoim. Ci zasiali własne pola, ale gdy nadeszła pora żniw przyjechały po łupy traktory i prymitywne kombajny. Kobiety z dziećmi na rękach – ich w przeciwieństwie do mężczyzn nie wyłapywano do więzień – stawiały opór. Uzbrojone w kosy i sierpy blokowały drogę pojazdom, kładły się na polach. Niektóre zostały zranione, jednak władze po kilku dniach ustąpiły. Długo wspomniano ten rok w Bolciszkach, plony były wyjątkowo wysokie i jeśli ktoś dobrze schował ziarno (zakopał poza obejściem), to łatwiej mu było przeżyć następne lata.

O „przewadze” kołchozów nad gospodarką prywatną świadczył i los zabranych koni. Z rozebranych budynków wiejskich zbudowano stajnie,

tam zgromadzono zwierzęta. Nie miano jednak czym je karmić, po każdej zimie pogłowie koni zmniejszało się o połowę. Te, co przeżyły podnoszono na wiosnę z pomocą lin konopnych, stawiano na nogi i karmiono sieczką z ciętych starych strzech. „To był widok socjalistycznej gospodarki...”. Okrutnie żałosny widok.



Zygmunt Poczobut
Foto A.D.

Los dorastającego mężczyzny

Zygmunt musiał chodzić do szkoły, cierpiał z całą rodziną głód i szykany. Po skończeniu gminnej nauki, podczas której najczęściej uwagi poświęcano dowodom na zwycięski pochód komunizmu, złożył podanie do technikum mechanizacji rolnictwa w Nowogrodzku. Dotarł tam osobiście, ale okazało się, że takich jak on, z reakcyjnych rodzin, nie przyjmują. Wkrótce potem został wezwany do Urzędu Bezpieczeństwa Narodowego i tam mu wygarnięto, że nie wstąpił jeszcze do Komsomołu. Wyjaśniono przy okazji, że jako szesnastolatek ma do wyboru dwie drogi życiowe: podjęcie pracy w kolchozie, albo wyjazd na północ Rosji, by rąbać tajgę. Ta druga propozycja – podobnie jak praca w kopalniach, lub w Kazachstanie – miała tę zaletę, że po trzech latach można było otrzymać paszport i poszukać wówczas pracy w mieście. Wybrał więc tajgę.

Mało się o tym pisze, ale przesiedlenia do przymusowej pracy były stosowane na byłych ziemiach wschodnich II RP również wobec całych rodzin,

które „utraciły zaufanie władzy radzieckiej. Wystarczył choćby cień podejrzenia, dla przykładu pochodzenie społeczne, korespondencja od rodziny z zagranicy, czy nieudzielanie się w pracach społecznych”. Z przesiedleńców powstawały nowe osady i miasteczka. Nie wywożono ich wprawdzie za Ural, ale trzymano pod nadzorem i nakładano obowiązek ciężkiej pracy, w tym i na dzieci powyżej 15 lat, jeśli nie chodziły do szkoły.

W 1953 r., akurat w kilka miesięcy po śmierci Stalina, Zygmunt Poczobut dostał polecenie, by stawić się na wyjazd. Zebrano kilkunastu takich jak on, co nie chcieli pracować w kołchozie i nie wstąpili do Komsomołu. Przydzielono im opiekuna z bronią i zawieziono na dworzec w Bastunach. Stąd w ciągu trzech dni dojechali w wydzielonych przedziałach, z przesiadką w Winie i Leningradzie, w rejon Białomorska. Gdy już spadł śnieg zabrano Poczobuta do pracy w tajdze za Archangielskiem. Mieszkali w barakach – szafasach, lub w starych wagonach. Przejazd na miejsce ścinki zajmował nawet do dwóch godzin, praca wypełniała dzień od świtu do zmroku. Latem dokuczały meszki i komary, zimą ścinano pnie do -30° , bo przy niższych temperaturach padające drzewa się łamały. Jedzenie, kupione w sklepiku (najczęściej chleb i konserwy rybne) trzeba było zabierać ze sobą, wodę do picia brać i z kałuż w bagnie. Należało uważać na kryminalistów, których przybyło po amnestii. O wszystkim decydował naczelnik *uczastka*, który miał prawo kierowania opornych do łagrów. Powtarzano też porzekadło: „Prawem jest tajga, a sędzią niedźwiedź”.

Z powodu mrozu trzeba było dreptać nawet bez potrzeby. Zygmunt dostał jako wyposażenie watowane spodnie i kurtkę (*fufajkę*), ale zamiast *walonek* dano mu buty gumowe. Na szczęście mama przed wyjazdem zrobiła nocą na drutach wełniane skarpetki i rękawice. Któregoś dnia, wieczorem po odebraniu nędznej zapłaty, współmieszkańcy baraku, starsi już mężczyźni oświadczyli, że uciekają nocą, bo tu nikt nie wytrzyma zimy. Solidarnie wyjechał i młody Polak, ale zostawił na narach watowane ubranie i kartkę z informacją, że wyjeżdża, bez *walonków* nie wytrzyma. Udało się uciekinierom zabrać na pociąg i ominąć kontrole milicyjne. W domu jednak po kilku dniach pojawili się funkcjonariusze i osadzono Poczobuta w areszcie, a następnego dnia odbył się sąd. Starsi dostali wyrok po pięć lat łagru w kopalni w Workucie, a małoletniemu jeszcze Zygmuntowi dano siedem dni na zgłoszenie się do pracy w tajdze. Łaskawość sądu wynikała z dotychczasowej niekaralności, braku *walonków* i pozostawienia ubrania, co świadczyło, że nie chciał go ukraść.

Nadzieja na powrót

Wiosną 1954 r. Poczobuta przeniesiono w pobliże granicy z Finlandią i tam pracował do czerwca 1956 r., kiedy został zawieziony na punkt zborny w Pietrozawodsku, gdzie pracowała komisja werbunkowa do wojska. Zgromadzono tam kilka tysięcy młodych mężczyzn, którzy po zbadaniu otrzymywali skierowanie do jednostek. Pan Zygmunt skutecznie symulował chorobę serca i po dziesięciu komisjach zwolniono go „z honoru obrony ZSRR”. Wrócił do pracy w obwodzie archangielskim, pod kołem podbiegunowym, po wschodniej stronie Morza Białego. Tu awansował najpierw na pomocnika, a następnie

na samodzielnego *elektropilszczyka*. Dzięki temu więcej zarabiał, a pracował lżej, choć bywało niebezpiecznie, gdy walono wielkie drzewa.

W obu tomach są fachowe opisy cięcia drzew, obróbki kłoców, ich segregowania i transportowania. Dla wywozu budowano tory.. „Wycinano drzewa i układano je na trasie przyszłego torowiska w sposób ukośny, jedno przy drugim. Na taki pomost z bali nakładano grubą warstwę mchu leśnego, a następnie układano bale jeden przy drugim ukośnie, ale odwrotnie niż te na dole. Na drugą warstwę bali pokrytych mchem nasypywano piasek, który dostarczano wagonami, gdyż samochody nie wszędzie mogły przyjechać. Po nasypianiu piachu układano podkłady kolejowe, a na nich szyny. Podczas przejazdu pociągu takie tory poruszały się jak na sprężynach”.

Polak z Kresów wykazał hart ducha i sprawność fizyczną, szybko nauczył się nowych reguł życia, zyskał kolegów, bo samotni nie mieli szans przeżycia. Marnował jednak młode lata w tajdze, odcięty od rodziny i wszystkiego co polskie. Tajga – jak napisał – miała jednak i plusy, chroniła przynajmniej częściowo przed systemem, przesiedleni do przymusowej pracy czuli się wolniejsi od politruków, towarzyszy, funkcjonariuszy. To nie był łagier, a i tych w tym rejonie nie brakowało. W 1957 r. Poczobut otrzymał paszport *grażdanina*, mógł poruszać się po kraju i podjąć pracę w dowolnym miejscu. Wykorzystał tę sposobność, by odwiedzić rodzinę na Białorusi, odrzucił jednak propozycję zatrudnienia się w kołchozie. Razem z zaprzyjaźnionym Finem Jane Rokio snuli nawet plany załatwienia sobie działki budowlanej na Krymie.

W 1958 r. dotarła z Archangielska informacja, że jest możliwość złożenie dokumentów na wyjazd na stałe do Polski. Rodzina pomogła w uzyskaniu metryki i pod koniec roku Z. Poczobut wysłał potrzebne *bumagi*. W styczniu 1959 r. – szybko – otrzymał paszport w jedną stronę, ważny przez trzy miesiące. W lutym pożegnał się z tajgą, białymi nocami i zorzą poranną (wspomina je często) i wrócił na krótko, z walizeczką i w czapce uszance, w rodzinne strony. A potem znów z jedną walizką – większą, bo z prezentami – wsiadł w Lidzie do pociągu, który dowiózł go do Brześcia. Na początku kwietnia 1959 roku, „po 20 latach od wybuchu wojny przyjechałem do Polski. Miałem niecałe 22 lata, a głowę pełną marzeń o lepszym życiu. Obserwowałem odzyskaną ojczyznę ze wzmożonym zainteresowaniem. Znałem ją wyłącznie z opowiadań, bo mieszkałem w Polsce przedwojennej tylko dwa lata”.

Zygmunt Poczobut nowe życie zaczął od nauki języka polskiego. Uzupełnił potem wykształcenie, odniósł sukcesy w pracy. Zmieniał miejsca zamieszkania, trafił na Mazury, gdzie poznał przyszłą żonę, która też pochodziła z pow. lidzkiego. Dobrze znają go obecnie mieszkańcy Suwałk, gdzie reprezentuje Związek Sybiraków. Może ktoś się zdziwi, bo przecież nie był na Syberii. Był jednak przesiedleńcem, ofiarą stalinizmu, przez niemal sześć lat pracował na dalekiej północy, z tego cztery lata przymusowo. Napisał we wspomnieniach: „Przeszedłem szkołę życia, umiałem odróżniać dobre od złego, szanować przyrodę i kochać ludzi, a krzywdy wybaczyć”.

Wychowywał się na Kresach, w tajdze marzył o Polsce, w ojczyźnie osiągnął wiele sukcesów życiowych.